

JAK IM PRZEBACZYĆ? cd.

WZMAGA SIĘ AKTYWNOŚĆ "REWKOMU" W OBUCHOWIE

Trzeba stwierdzić, że obuchowski „rewkom” miał sporo kłopotów z realizacją dyrektywy o budowie bram powitalnych. O ile samo zbudowanie bramy powitalnej u wylotu drogi z Obuchowa na trakt grodzieński nie nastręczało większych trudności, to utrzymywanie przy bramie gromady ludzi przez wiele godzin, nie było przedsięwzięciem łatwym. Po godzinie czy dwóch, gdy dokonano powitań pierwszego oddziału, „witacze” mieli ochotę rozchodzić się do własnych obowiązków. Komitet zmuszony był używać nacisku i stosować zmiany dyżurów przy bramie.

Tu znów wyróżnił się gorliwością Piotr Piotrowicz Dziekoński. On jedyny potrafił sformułować kilka sensownych, chwytających za serce, zdań powitalnych. Ubrany w rubaszkę, wypuszczoną na spodnie, z długą siwą brodą, wyglądał na sympatycznego, szczęśliwego murzyka.

Wojska pierwszoroztowe, śpieszące do Grodna, nie zatrzymywały się przy bramie. Tankiści machali przyjaźnie rękami i pędzili naprzód. Dopiero kolejne ugrupowania, drugie rzuty, kawaleria i sztaby, miały więcej ochoty i czasu na spotkania z witającą ich ludnością. Oficerowie odpowiedzialni za „politrobotu” uważnie słuchali powitań i sami wygłaszali krótkie mowy, chwając patriotyzm wyzwalanego ludu. Fotografowali bramę, fotografowali też

uszcześliwionych wieśniaków, którzy radośnie witają swoich wyzwolicieli.

Bramy powitalne zbudowano również w Komotowie i Ogrodnikach. Tam nie utrzymywano stałych dyżurów, bowiem obydwie wioski znajdowały się nieco na uboczu, poza drogami przemarszu wojska.

Obuchowski „rewkom” zebrał się na pilną naradę. Posiedzenie prowadził Włodzimierz Januczenia. Był w dobrym nastroju, bo sytuacja wojenna rozwijała się bardzo pomyślnie. Wojska sowieckie dotarły do Grodna. Wprawdzie Polacy podjęli obronę, ale jego zdaniem nie potrwa ona dłużej aniżeli kilka godzin.

Podsumowując działalność sielskiego obuchowskiego komitetu rewolucyjnego Wołodzia utracił radosny nastrój i zasepił się. Wielu istotnych zadań nie wykonano do końca, bądź realizowano źle, opieszale... Przede wszystkim nie aresztowano wszystkich osadników. To był największy błąd, którego nie można było naprawić, ani wybaczyć.

- Ślepotą polityczną naszych młodych milicjantów jest zaskakująca - mówił przewodniczący komitetu. Aresztowali i wsadzili do piwnicy Tu miłowicza i Kosalkę. A ja się pytam kogo oni aresztowali? Toż to biedniacy i robotnicy najemni. Jeden ze szkoły a drugi z mleczarni. Wstyd było nawet trzymać ich w areszcie razem z osadnikami. Musiałem ich uwolnić. Zresztą, co tu mówić o młodzieży - narzekał

dalej Januczenia - kiedy starsi i doświadczeni towarzysze sami dają młodym zły przykład. Zamiast wyłapywać osadników wolą aresztować cielaka, albo pierzynę z podwórka.



Bazelik – morderca osadników

Paweł Aplewicz poczerwieniał i poruszył się niespokojnie na stołku.

- Co? Do mnie pijesz Wołodzia? – zapytał wzburzony.

- Tak, do ciebie. Poszedłeś aresztować Tokarza i co? Zabrałeś wietrzącą się pierzynę! Lepiej by było żebyś Tokarza zabrał.

- Tokarza? A może wiesz gdzie on się ukrywa? Jak wiesz to idź i sam go aresztuj! A jeśli chodzi o pierzynę, to chyba. coś mi się należy, a osadników nie ma co żałować. Kilka lat kiblowa-

łem w więzieniu, a po powrocie nie zastałem w domu niczego. Muszę urządzić się jakoś. To jest jasne. A może ktoś z was pomógł mi? Nawet nie potwiliście mnie jak należało...

- Wy Aplewicz czegoś tu nie rozumiecie i głupoty gadacie - stwierdził spokojnie Bołociuk. – Swoje osobiste sprawy stawiacie ponad działalność „rewkomu”. Gdybyście przed aresztowaniem nie przepuścili na wódkę i karty całego dobytku matki to mielibyście do czego wracać. A poza tym wiadomo wszystkim, że „rewkom” podjął uchwałę o konfiskacie całego mienia osadników i od tej pory stanowi ono własność społeczną. A kto przywłaszcza sobie własność społeczną to okrada nas wszystkich, nawet tu obecnych.

Paweł nie mógł spokojnie słuchać tych bredni. Wiedział, że bajeczkę z tą własnością społeczną Bołociuk wymyślił na poczekaniu, żeby mu dopiec i ośmieszyć. Miał łeb nabity teorią i łatwo mógł wymanewrować na wroga każdego, kogo tylko zechciał.

Aplewicz wstał i wprost zwrócił się do Bołociuka.

- To ty głupoty wygadujesz! Kogo ja okradłem spośród tu zebranych? No, niech ktoś powie. Wszyscy natomiast wiedzą, że byłem członkiem KPZB i za działalność partyjną byłem dwa razy aresztowany. A ty gdzie wtedy byłeś jak ja wyrok odsiadywałem? Jakie masz zasługi? Bo teraz to tylko wóde żłopiesz i dziewczyny bałamucisz. Rozwaliłeś się za stołem jak czerepacha i mądrzysz się.

Zebrani na posiedzeniu gruchnęli śmiechem, bo słowo „czerepacha” do brze pasowało do Bołociuka.

KRESOWE STANICE

- Ach ty sukinsynu! – zawołał Bołociuk i doskoczył do Pawła Aplewicza.

- Ja ci zaraz pokażę kto tu jest czerepacha. Oficera obraziłeś! Ruki po szwam! Zaraz ci rozwałę ten kałdun za niesubordynację.

Paweł Aplewicz czuł na brzuchu ucisk lufy nagana. Zamarł ze strachu. Stał na baczność przed Bołociukiem z rękami opuszczonymi wzdłuż spodni. Drżały mu łydki i nie był w stanie powiedzieć czegoś konkretnego.

Uczestnicy zebrania umilkli. W idealnej niemal ciszy oczekiwali na dalszy rozwój sytuacji.

Spokojny głos Dziekońskiego rozładował atmosferę grozy.

- No rebiata! Dość tych swarów! Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Osobiste rozmowy zostawcie na później.

- To prawda Piotrze Piotrowiczu – zgodził się Bołociuk – mamy teraz ważniejsze sprawy.

Bołociuk posiadał dużą zdolność zmiany nastroju. Już był na luzie, swobodnie rozmawiał z innymi ludźmi, a nawet uśmiechał się. Paweł Aplewicz nie miał takiej umiejętności. Prawie nieprzytomny z wrażenia czuł w głowie chaos i pogoń myśli, które krążyły wokół jego życiorysu i starcia z Bołociukiem. – Skąd ten drań tak dużo wie o mnie? – pytał sam siebie. – Bez wątplenia to musiała być sprawa Januczeni... Osaczony natrętnymi myślami nie bardzo rozumiał o czym mówili uczestnicy narady. Tylko strzępy zdań, wypowiedzianych przez Arciukiewicza, docierały do jego świadomości.

- Według naszego rozeznania – mówił Arciukiewicz – nie wszysecy w Le-

rypolu posiadają broń. Pawlikowski, to spokojny i pobożny człowiek, broni nie posiada. Tomczyk ma dubeltówkę i karabin, Zarębski ma pistolet...

Dopiero, gdy zabrzmiał głos Bołociuka Paweł odzyskał pełną świadomość. Słuchał i przyglądał się uważnie jego twarzy.

Nazajutrz, w czwartek 21 września, uwięziono w piwnicy Ulidę, sołtysa z Marianówki. Nieco później doprowadzono do aresztu polskiego porucznika, pojmanego w Komotowie. Obydwaj nowi więźniowie nie byli długo przetrzymywani w piwnicy. Sielski obuchowski komitet rewolucyjny decyzję podjął szybko. Obydwo wywołano z piwnicy i pod konwojem braci Aplewiczów oraz Jana Szyrko poprowadzono w stronę Żydomli.

- Gdzie nas prowadzicie? - zapytał Ulida.

- Idziemy do Żydomli, tam jest areszt zbiorczy – odpowiedział Paweł – ale jak wam nie odpowiada taki spacer, to możemy zawrócić was do piwnicy.

Sołtys o nic więcej nie pytał. Dręczony złymi przeczuciami szedł w milczeniu obok porucznika. Za nimi maszerowała trzyosobowa trzyosobowa eskorta, uzbrojona w karabiny.

Włodzimierz Aplewicz zawsze lubił mundury wojskowe. Teraz, idąc za porucznikiem uważnie przyglądał się jego mundurowi. Był nowy, ładnie skrojony i dobrze leżał na poruczniku. Zauważył też, że oficer wzrostem i proporcjami ciała był podobny do niego.

Idąc do Żydomli od strony stacji kolejowej przechodzi się obok cmenta-

rza, którego lewa część jest prawosławna, prawa zaś katolicka.

- Wchodzimy na cmentarz! – zarządził komendant milicji Włodzimierz Aplewicz.

Obydwu Polaków, nieco zdziwionych, poprowadzono wzdłuż płotu prawosławnej części cmentarza.

- Zdjąć mundur i położyć na trawie - padło następne polecenie komendanta.

Porucznik, zdezorientowany rozwojem sytuacji, powoli zdejmował mundur spozierając nieufnie na konwojentów.

- Kiedy nastąpiły aresztowania członków podziemnej partii komunistycznej wy Ulida, jako sołtys Marianówki, współpracowaliście z policją państwową. Wy poruczniku stawialiście opór podczas aresztowania. Obuchowski „rewkom” skazał was obydwu na karę śmierci - oznajmił Paweł.

- Paweł! Co ty zgłupiałeś? Ja was nie wydałem! W ogóle ręki nie dołożyłem do waszego aresztowania! Paweł! Przecież... – Ulida nie dokończył zdania, bo strzał z małej odległości powalił go na stary, omszały nagrobek.

Prawie jednocześnie z Pawłem strzelił Wołodzia do porucznika. Nie żalowali naboju. Strzelając do leżących dobijali ich, tak dla zwykłej pewności.

- No, teraz czerepacha będzie zadowolony - stwierdził Szyrko.

- Zaczekajcie chwileczkę - poprosił Wołodzia. Zdjął swoje łachmany i zaczął ubierać się w mundur oficerski.

- Trofiejny! Lepiej leży na tobie niż na poruczniku - zauważył Paweł.

- Od razu będzie widać kto w Obuchowie jest komendantem – dodał Szyrko.

Wołodzia nic nie odpowiedział, ale rozpięła go radość, kiedy oglądał rękawy i nogawice, Jeszcze tego samego dnia paradował po wsi w mundurze oficerskim. Oglądali się za nim ludzie stwierdzając, że wygląda jak prawdziwy oficer.

Wołodzia wstąpił również do Budowli. Z daleka dostrzegał jakieś poruszenie na podwórku Nowaka. Natychmiast skręcił w tamtą stronę. W mieszkaniu zastał Edwarda Nowaka.

- Nie stawiałeś się w Obuchowie na wezwanie „rewkomu” – powiedział Wołodzia.

- Wzywaliście osadników, a ja przecież nie jestem osadnikiem, tylko mój brat Stanisław.

- Wszystko jedno, siedzisz na jego gospodarce to powinieneś przyjść. No, trzeba przyznać, że ładnie sobie tu żyjesz. Wstawaj, pójdziemy do Obuchowa.

- Wołodzia zostaw mnie w spokoju. Żonę mam w ciąży. Ja muszę być razem z nią. Ona sama nie da sobie rady. Wołodzia, przecież byliśmy kolegami, zostaw mnie...

- Jest wojna, a na wojnie nie ma kolegów, jest tylko rozkaz przełożonych. Moim przełożonym jest „rewkom”, a teraz tylko jego rozkazy obowiązują, rozumiesz? Wstawaj, bo zaraz użyję broni!

Jeszcze tego samego dnia Edward Nowak został osadzony w piwnicy Totocia.

WAŻNE ZEBRANIE W KURPIKACH

We wsi Ogrodniki, przylegającej do Lerypola, mieszkało kilka rodzin kato-

KRESOWE STANICE

lickich, które uważały się za Polaków. Rodzina Kamińskich posiadała młyn wodny, zbudowany na rzece Kotrze. Z Kamińskimi spokrewniony był kowal Klukiewicz, powszechnie lubiany i szanowany. Klukiewicz znał dobrze swoich klientów, ich codzienne, a nawet poufne sprawy. Po 17 września 1939 roku ostrzegł osadników z Lerypola, że miejscowi komuniści mają wobec nich złe zamiary. Radził, aby wyjechali stąd chociaż na kilka dni. Na Litwę, albo gdzieś indziej...

Z jego rady skorzystał tylko Józwicki, zarządzający majątkiem generała Szyllinga. Osadnicy, poza nocnymi dyżurami, nie podjęli innych przedsięwzięć. Ludzili się nadzieją, że okropności wojny ominą, na uboczu położoną, osadę. Z okolicznymi Białorusinami nie mieli żadnych zatargów, a wręcz sporo dowodów było na to, że rozwijało się z nimi dobre sąsiedztwo, oparte na wzajemnej pomocy i zaufaniu.

W dniu 22 września nocny dyżur w osadzie Lerypol pełnił mój ojciec Jan Tomczyk razem z bliskim sąsiadem Ignacym Zarębskim. Około godziny siódmej zakończyli służbę i rozeszli się do swoich domów.

Na krótko przed godziną ósmą z rejonu Kotry dobiegł odgłos dwóch wystrzałów karabinowych. Wyszliśmy na podwórko, żeby zobaczyć co się dzieje. Wąską ścieżką, nad brzegiem rzeki, wędrowała od strony Kurpik i Pław spora grupa mężczyzn. Skręcili w stronę działki Szyllinga i rozproszyli się między zabudowaniami. Nie zabawili tam długo, bo nie zastali ani generała, ani rządcy Józwickiego.

KRESOWE STANICE

Następnie otoczyli murowany dom Górnickich. Wewnątrz było dużo ludzi: Władysław Górnicki z żoną i czwórka dzieci oraz przybyła z Grodna żona kapitana Jana Górnickiego z dwójką dzieci Zosią i Tadeuszem. W ostatnich minutach schroniła się u Górnickich najbliższa sąsiadka Barszczowa razem ze swoimi dziećmi.

Oto jak relacjonuje wydarzenia owego ranka, szesnastoletni wtedy Henryk Barszcz, zamieszkały obecnie w Anglii.

„... Usłyszeliśmy dwa wystrzały przed godziną ósmą. Ojciec powiedział do mamy: zabierz dzieci i idź do Górnickich. To myśmy poszli. Kapitanowa z Zosią były jeszcze w łóżku. Uplynęło zaledwie kilkanaście minut, gdy ktoś zastukał do drzwi i wołał, żeby wszyscy wyszli z domu. Nikt drzwi nie otwierał i wystraszeni siedzieliśmy cicho. To oni weszli od podwórza przez werandę. Pierwszy wszedł Bazelik z karabinem, a za nim Siewiernyn i inni. Rozpoczęła się rewizja, polegająca na wywalaniu z szaf na podłogę ubrań i obuwia. Najgorzej zachowywał się Pachnut Kurpik, ojciec Wołodzi Pachnuta, który odwoził nas saniami 10 lutego do transportu w Żydomli. Oglądał damskie stroje, przymierzał kapelusze i kpił sobie z nich po chamsku.

Siewiernyn, ten z Ogrodnik, zabrał mnie i moją mamę i wyprowadził nas na dwór. Na dworze pod ścianą stali już pan Władysław Górnicki i Tadeusz Górnicki, a Gierasim Gołowka z wioski Pławy, razem z synem Iwanem celowali do nich karabinami. Iwan chodził ze mną do szkoły w Budowli. Ja

nawet bywałem w ich domu, w Pławcach. Gdy go zobaczyłem u Górnickich z karabinem to wierzyć mi się nie chciało, że to on. Iwan spieszył się na mój widok, opuścił karabin i podniósł lufę karabinu ojca, który celował do Tadeusza.

cara z zabudowanym karabinem maszynowym. Dowódca kawalerii spytał kim oni są. Pietruk Gołowka z Ogrodnik wytłumaczył wszystko, a następnie stanął na błotnik cary i pojechał z sowietami do Ogrodnik, gdzie zbudowana była brama powitalna i czekali przy



Autor w odwiedzinach u Anny Łukianowej Arciukiewicz – siostry przywódcy morderców z wioski Kurpiki – Stiepana Łukocia Arciukiewicza

Maksym Siewierny poprowadził mnie i mamę w stronę naszej chaty. Jak zobaczył naszego ojca, to powiedział, że ojciec musi iść na zebranie do Kurpik.

W tym czasie posypały się wystrzały z karabinu maszynowego. Cała banda padła na ziemię. Okazało się, że strzela sowieckie wojsko. Nie wiadomo skąd zjawił się oddziałek kawalerii i

niej ludzie z kwiatami...”

Strzelanina zaalarmowała pozostałych mieszkańców Lerypola, ale nikt nie wiedział co się dzieje i co należało przedsięwziąć, aby uniknąć niebezpieczeństwa.

Z naszego podwórka było widać wielu ludzi przed domem Barszcza. W pewnym momencie cała ta gromada ludzka ruszyła w naszą stronę. W du-

zym napięciu obserwowaliśmy ich marsz. Gdy byli już bardzo blisko doznaliśmy ulgi i odprężenia. Okazało się bowiem, że obydwu Górnickich i Stanisława Barszcza prowadzą znajomi Białorusini z okolicznych wiosek.

Osobliwy był skład tej gromady Białorusinów. Byli wśród nich wytrawni konspiratorzy komunistyczni, tacy jak Stiepan Łukicz Arciukiewicz, Kirył Kurpik, Gabriel Pilec, Maksym Siewierny i in. Większość jednak stanowili pospoliccy kryminaliści, działający pod zwierzchnictwem komunistów. Wszyscy mieli czerwone opaski na rękawach.

Ojciec mój, posiadający usposobienie towarzyskie, utrzymywał z Białorusinami przyjazne kontakty. Ostatnio pełnił obowiązki starosty na weselu w Kurpikach. Był także zapraszany na inne uroczystości, toteż miał wiele okazji, aby z tymi ludźmi zawrzeć dobrą znajomość. Zapytał więc śmiało co oznaczają odwiedziny tak licznej grupy uzbrojonych sąsiadów.

Arciukiewicz wyjaśnił, że w Kurpikach odbędzie się ważne zebranie, na którym przedstawiciel nowej władzy sowieckiej będzie mówił o nowych porządkach jakie tu zapanują. Obecność osadników jest obowiązkowa.

Ojciec podporządkował się zarządzeniu i dołączył do czekających na drodze Górnickich i Barszcza. Dziewiętnastoletni brat mamy, Tadeusz Śliwiński, widząc wśród przybyłych naszego parobka Dymitra Kurpika, wyraził chęć udziału w tym ważnym zebraniu. Dymitr był rówieśnikiem Tadeusza. Obydwaj chłopcy kolegowali z sobą.

- Tadziu ty nie idź – wołała mama – musisz mi pomóc przy pracy.

- Ty nie musisz iść, ty nie osadnik – powiedział zakłopotany Dymitr – ciebie tam nie potrzeba!

- Jak chce niech idzie! Niech idzie – zachęcał Gierasim Gołowka.

- On nie chce, ma w domu robotę – tłumaczył coraz bardziej zakłopotany Dymitr. Tadeusz nie słuchając nikogo dołączył do szwagra Tomczyka.

W czasie, gdy pochód zatrzymał się przed domem Pawlikowskiego, dwóch uzbrojonych mężczyzn poszło po Zarębskiego. Zastali go przy pracy, gdy naprawiał maszynę rolniczą. Ręce miał pobrudzone, lecz gdy chciał wstąpić do domu, aby je umyć, nie pozwolono mu na to. Zabudowania Zarębskiego znajdowały się około 200 metrów od drogi, na której czekano na niego. Idąc wzdłuż brzoźowego zagajnika Zarębski pochylił się by wytrzeć dłonie o zieloną murawę. Jeden z konwojentów brutalnie popchnął go do przodu. Zarębski, człowiek rzeczowy i honorowy, wstał i przyjął postawę obronną. Obydwaj mężczyźni skierowali w niego lufy karabinów. Cały ten incydent widzieli osadnicy, czekający na drodze. To, co zobaczyli, obudziło w nich podejrzenie, że Arciukiewicz i jego kompani, mówiąc o zebraniu w Kurpikach, zastosowali podstęp.

Po dołączeniu Zarębskiego kolumna ruszyła do przodu. Osadnicy dyskretnie porozumieli się między sobą. Idący przodem utrzymywali tempo marszu, a ci z tyłu zwalniali je, powodując znaczne rozciągnięcie kolumny. Istnieje domniemanie, że zamierzali uciekać, gdy rozciągnięty pochód wej-

dzie między olchy i krzewy, porastające wzdłuż drogi.

Tymczasem wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Od strony Obuchowa pojawili się dwaj jeźdźcy na dorodnych (zdobycznych) koniach ułańskich. Przecwałowali przez Pasiekę koło domu Pelków, minęli zabudowania Zarębskich i zatrzymali się przy gromadzie ludzi, maszerujących w stronę Kurpik. Jednym z jeźdźców był Włodzimierz Aplewicz, odziany w polski mundur i z szablą przy boku. Odwołał na bok Arciukiewicza i żywo gestykulując, przekazał mu najnowsze decyzje obuchowskiego „rewkomu”.

Po zakończeniu rozmowy z Aplewiczem Arciukiewicz skierował kolumnę w lewo, na ogrodzone drutem kolczastym pastwisko, należące do działki Zarębskiego. Ustawił osadników w szeregu i donośnym głosem obwieścił, że sielski obuchowski komitet rewolucyjny skazał ich za wrogość do bolszewików i uczestnictwo w wojnie z nimi w 1920 roku – na karę śmierci.

Powstał tumult. Pawlikowski klęknął na kolana i zawołał:

- Bracia! Kto w Boga wierzy niech się śmierci nie boi.

Nie zdążył już powstać, bo kula Józefa Ziuki powaliła go na ziemię. Wincuk z Pław jednym strzałem zabił szesnastoletniego Tadeusza Górnickiego. Gierasim Gołowka zastrzelił Władysława Górnickiego, a Maksym Siewieryn z Ogrodnik dokonał mordu Stanisława Barszcza.

- Niech żyje Polska! – krzyknął Ignacy Zarębski. I to były ostatnie jego słowa.

Tadeusz Śliwiński, gdy tylko usłyszał wyrok śmierci na osadników, zaczął uciekać w stronę zabudowań Zarębskiego. Nie zdołał uciec daleko, bo Wołodzia Aplewicz, siedzący wciąż na koniu, dopadł go natychmiast. Okładając Tadeusza szablą starał się zapędzić go z powrotem na łąkę. Chłopiec robił uniki, zasłaniał się gołymi rękami, ale taka obrona nie mogła trwać długo. Zmasakrowany padł pod nogi konia.

Do Tomczyka strzelił Bazelik. Tomczyk upadł, ale zaraz poderwał się na równe nogi. Chwytał od tyłu wpół Dymitra Kurpika i próbował osłaniać się jego ciałem. Wszyscy osadnicy leżeli już w kałużach krwi, a Tomczyk osłaniając się Dymitrem, walczył jeszcze o każdą sekundę życia. Otoczony ze wszystkich stron przez, rozjuszonych morderców nie miał żadnych szans, aby żyć dłużej. Cios zadany szablą rozłupał mu czaszkę, tak mocno, że mózg wylał się do czapki. Ostatni osadnik padł na ziemię, obficie brocząc krwią.

Oprawcy, szykujący do odejścia, uważnie zlustrowali pobojowisko. Zauważyli, że Tadeusz Śliwiński co pewien czas porusza kończynami.

- Dobij go Dymitr – rozkazał Gołowka. – To twój kolega. Dobij niech się nie męczy. A to jeszcze ożyje i ucieknie.

Dymitr, będący jeszcze w szoku po szamotaninie z Tomczykiem, zdawał się nie rozumieć co do niego mówiono. Wobec takiej sytuacji Ignat Panasiuk z Żerosławki chwycił siekierę i podbiegł do Tadeusza. Uderzył go obuchem w głowę. Twarz chłopca zdeformowała się jeszcze bardziej, a jedno oko wyszło

zupełnie na wierzch i zdawało się Ignatowi, że patrzy na niego ze zdziwieniem. Drgawki konwulsyjne poruszyły zmasakrowane ciało Tadeusza. Ignat znów uderzył go obuchem i jeszcze raz...

- Ot, zdrowy i silny miał organizm - stwierdził Ignat - trudno było go dobić.

Wincuk zbliżył się do Tadeusza Górnickiego, zdarł z niego granatową marynarkę gimnazjalisty i założył ją na siebie. Był zadowolony, bo nawet pasowała na niego. Ktoś inny ściągał buty z nóg martwego osadnika

Po opuszczeniu pobojozwiska mordery wyszli na drogę i rozdzielili się. Jedni poszli w stronę Kurpik i Pław, inni zaś wrócili do Ogrodnik i Pużyc. Ci z Kurpik zauważyli samotnego mężczyznę, idącego od strony Sawalówki. Z daleka już rozpoznali charakterystyczną sylwetkę Smolniaka. Był to bardzo biedny Polak, żyjący w ziemiance na skraju Sawalówki. Utrzymywał się z pracy najemnej i ze sprzedaży smolnych szczypek na podpałkę w piecu. Stąd pochodziło jego przewisko Smolniak. Mało kto wiedział, że naprawdę nazywał się Kraśnik.

- Dokąd ty Smolniak idziesz - zapytał Arciukiewicz.

- Do Lerypoła, odwiedzić Tomczyka.

- No to w samą porę przychodzisz, bo Tomczyk już na ciebie czeka - stwierdził Bazelik z szyderczym śmiechem. Następnie chwycił Smolniaka za ramię, pchnął do przodu i kopnął zamazyscie.

- Panie Bazelik, czego mnie tak Turbujecie?

- Panów już nie ma. Ot tam leżą sobie i twój Tomczyk też. Czeka na ciebie!

Dowcipkowanie Bazelika spodobało się innym. Przeżywali jeszcze amok mordu, zaczęli więc jeden przez drugiego okładać bezbronnego, pokornego człowieka.

- O Jezu! O Jezu! O Jezusie - pojąkiwał Smolniak.

Zaciągnęli go na łąkę i zakatowali tylko dla samej przyjemności zabijania. Następnie martwe ciało rzucili obok zwłok Tomczyka.

W ciągu następnych tygodni docierały do rodzin osadników poufne informacje, przekazywane „pocztą pantoflową”, o tym kto kogo zamordował i jakie były ostatnie chwile ich bliskich.

Cdn.

Źródła:

1. Relacja pisemna Henryka Barszcza,
2. Relacje ustne: Heleny Tomczyk, Wiktorii Zarębskiej, Wacława Górnickiego, Anny Łukianowej Arciukiewicz, Kławy Januczenia, Dymitra Afana